

paweł
huelle
mercedes-benz



znak

paweł
huelle

mercedes-benz
z listów do hrabala

wydawnictwo znak
kraków 2014

Milý pane Bohušku, a tak zase život udělal mimořádnou smyčku,
Kochany panie Bohumilu, i znów życie zatoczyło niesamowitą pętlę, bo kiedy przypominam sobie ten mój pierwszy majowy wieczór, gdy przerażony i zupełnie roztrzęsiony siadłem po raz pierwszy za kierownicą małego fiata panny Ciwle, jedynej instruktorki w firmie Corrado – gwarantujemy prawo jazdy po najniższych w mieście cenach – jedynej kobiety w gronie tych pewnych siebie samców: byłych rajdowców i mistrzów kierownicy; kiedy więc zapinałem pas i ustawiałem wedle jej wskazówek lusterko wsteczne, aby za chwilę ruszyć małą, wąską uliczką na jedynce, by zaraz, po czterdziestu metrach stanąć na skrzyżowaniu, gdzie tylko wąska nitka powietrza jak niewidzialny korytarz lotniczy prowadziła pomiędzy tramwajami i rozpędzonym hukiem ciężarówek gdzieś na drugą stronę śródmiejskiego piekła, kiedy więc wyruszałem w tę pierwszą moją automobilową podróż, jak zwykle czując, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu, bo przychodzi za późno i poniewczasie, gdy więc na samym środku tego skrzyżowania pomiędzy rozdzwonioną

trzynastką, która hamowała nagle, a wielkim tirem, który jakimś cudem zdołał ominąć o włos małego fiata panny Ciwle, trąbiąc przy tym straszliwie niskim, przeraźliwie głośnym klaksonem podobnym do syreny okrętowej; słowem, gdy utknąłem na samym środku tego skrzyżowania, zaraz pomyślałem o panu i tych pańskich cudownych, lekkich, pełnych wdzięku lekcjach jazdy na motocyklu, kiedy to mając instruktora za plecami, a przed sobą torowisko i wilgotną kostkę bruku, dawał pan na tej jawie 250 ostro gazu, śmigał pan przez te praskie ulice i skrzyżowania najpierw w górę ku Hradczanom, a potem w dół, do Wełtawy, i cały czas nieprzerwanie, jakby natchniony przez jakiegoś motoryzacyjnego dajmoniona, opowiadał pan instruktorowi o tych cudownych maszynach z dawnych czasów, na których pański ojczym tyle miał wspaniałych wywrotek, stłuczek i katastrof; no więc gdy kierowca tira zatrzymał ostro tego swojego potwora ważącego kilkadziesiąt ton i zostawiwszy pojazd na środku jezdni, wyskoczył z szoferki i biegnąc do małego fiata panny Ciwle, wygrażał nam straszliwie pięścią, a właściwie, bliski z wściekłości samookaleczenia, pięścią tą okładał się po własnej głowie, kiedy więc widziałem jego twarz purpurową od furii i bólu przylepioną do szyby małego fiata panny Ciwle i zaraz obok niej drugą, też do szyby przyklejoną twarz motorniczego trzynastki, który podobnie jak kierowca tira porzucił swój pojazd i sprasowanych przy ostrym hamowaniu pasażerów, kiedy więc ujrzałem za przezornie już podkreconymi przez pannę Ciwle szybami fiata te dwie twarze, za którymi zaraz wyłaniały się następne, ponieważ kierowcy innych aut zablokowani przez stojący tramwaj i zatrzymanego tira również porzucali swoje samochody i biegli do nas, żeby na tym małym fiacie

wyładować całą swoją złość za zatłoczone drogi, nieremontowane mosty, podwyżki cen benzyny i wszystko to, co dotknęło ich tak niedługo po upadku komunizmu, kiedy więc te twarze rodem z Boscha omal nie wtoczyły pani instruktor i mnie w fotele jej małego fiata, który za nic nie chciał zapalić, powiedziałem do panny Ciwle zupełnie spokojnym głosem – a wie pani, moja babka Maria, kiedy w dwudziestym piątym roku uczyła się jazdy na citroënie, miała podobny przypadek, tyle tylko, że ten citroën stanął na przejeździe kolejowym i z prawej strony, czyli tam, gdzie siedział pan instruktor Czarzasty, nadjeżdżał już zza zakrętu pospieszny Wilno–Baranowicze–Lwów i pan Czarzasty bardzo szybko ocenił sytuację, i powiedział – panno Mario, wyskakujemy natychmiast albo giniemy – więc wyskoczyli – kontynuowałem – a ten pospieszny, chociaż hamował, sypiąc snopami iskier spod kół, to jednak staranował to piękne auto, więc stali tak obok polnego przejazdu: moja babka Maria i pan instruktor Czarzasty, patrząc na wielkie, coraz większe oczy maszynisty, który w całej tej kupie blachy, nikłów, chromów, pluszu, dermy i stłuczonego szkła nie mógł jakoś dojrzeć zmiażdżonej głowy, obciętych nóg, czapki kierowcy czy choćby jednej plamki krwi i dopiero kiedy spojrział nieco dalej, ujrzał, jak moja babka Maria i pan instruktor Czarzasty machają do niego przyjaźnie, i to była bardzo piękna scena – zbliżałem się do finału – bo za nimi przy tej polnej drodze stała kapliczka Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, wokół której wianuszek wiejskich kobiet i dzieci odprawiał właśnie majowe nabożeństwo, tak zatem pierwszy plan ze zmiażdżonym citroënem i sapiącą lokomotywą przechodził łagodnie w plan drugi, czyli chwytającego się za głowę maszynistę, za którym plan trzeci

wypełniali uradowani moja babka Maria i pan instruktor Czarczasty, a wszystko to na tle dalekich, pofalowanych wzgórz z kapliczką Matki Boskiej Nieustającej Pomocy u stóp Karpat Wschodnich. – Boże, jak pięknie – panna Ciwle właśnie przesuwiała się ostrożnie ponad moimi kolanami, a ja, delikatnie, pod jej pupą, wykonywałem podobny ruch, tyle że w przeciwną stronę – Boże, jak pan opowiada – ciągnęła, sprawdzając biegi i stacyjkę – tylko dlaczego w moim równoległym układzie też nie działa, taaa, bardzo ciekawe – zapaliła wreszcie silnik i pokazując otaczającym nas kierowcom ów męski, nieprzyzwoity, haniebny znak środkowym palcem, ruszyła wreszcie wolno wśród ludzkiego szpaleru, mistrzowsko manewrując pomiędzy stłoczonymi ciałami naszych potencjalnych oprawców, którzy chcieli nas ubiczować na środku tego strasznego skrzyżowania, tej mojej pierwszej samochodowej golgoty. Kochany panie Bohumilu, no więc wtedy właśnie, gdy panna Ciwle powiedziała do mnie tym swoim niesamowitym, trochę metalicznym głosem – Boże, jak pan opowiada – ja już miałem na końcu języka – co tam ja, niech pani przeczyta lepiej *Wieczorną lekcję jazdy*, tam dopiero są historie, które każdy instruktor powinien sobie przypomnieć przed zaśnięciem, albo przed wyjazdem z kursantem na miasto, tam jest ten piękny motoryzacyjny liryzm, tam dopiero wyłożona jest platońska idea związku instruktora z kursantem, która nie polega przecież na zwykłym ćwiczeniu, na banalnym nadzorze, na pospolitej nauce, ale na opowiadaniu sobie pięknych historii, na owej komunii słownej, która łączy ze sobą ludzi ponad płcią, polityką i pochodzeniem – ale niestety, panie Bohumilu, nie powiedziałem tego, bo oczy wyszły mi z orbit, serce załopotowało w gardle, a język wysechł jak po trzech dniach

kaszubskiego wesela, gdy tylko zobaczyłem, jak panna Ciwle nagle dodaje gazu i slalomuje pomiędzy tymi wściekłymi kierowcami, jak rozsuwa ich tłum kwadratowatym dzióbkiem fiatka, a następnie, w ostatniej dosłownie sekundzie, przeskakuje wąską gardziel pomiędzy ruszającym tramwajem a jadącym już wolno tirem; och, szkoda, że pan tego nie mógł widzieć, kochany panie Bohumilu, tego zwycięstwa młodej dziewczyny w małym fiacie nad tłumem rozwrzeszczanych kierowców i nad tymi dwoma strasznymi macho: motorniczym trzynastki i kierowcą tira, którzy, co tu gadać, po prostu popadli w obłęd, widząc ten przejazd małego fiata tuż przed swoimi nosami, ten hazardowny skok między Scyllą tramwaju a Charybdą tira, to było, panie Bohumilu, naprawdę coś wspaniałego, ten tryumf inteligencji nad masą, ta ironiczna kpina ze ślepej i głuchej frustracji, to zagranie im na nosie przez pannę Ciwle i jej kursanta: tra la la bum cyk cyk, pocałujcie nas w dupę, głupie wuje. – O Jezusie Nazareński – wyszeptalem – ależ pani jeździ, jestem zdruzgotany – no nie, dlaczego – śmiała się dźwięcznie – nigdy nie będę takim mistrzem – przełknąłem ślinę – nigdy pani nie dorównam, choćby nie wiem co – no, no, spokojnie – powiedziała – widziałam już takich jak pan, cicha woda, prawda? – i utkwiała we mnie spojrzenie szarych źrenic – ale niech pan dokończy z tą swoją babką Marią, a właściwie chodzi mi o tego zmiążdżonego Citroëna i uszkodzoną lokomotywę, chodzi mi o to, czy samochód był ubezpieczony i czy ten instruktor Czarzasty dostał jakieś odszkodowanie, no bo uszkodzenia lokomotywy to było pewnie zmartwienie kolei państwowych, no nie? – znów spojrzała na mnie i to spojrzenie było jeszcze bardziej niesamowite niż jej dziwne nazwisko – no właśnie, że nie – odparłem –

było całkiem inaczej, niż pani myśli, w tamtych czasach samochody należały najczęściej do samych klientów, to jest, chciałem powiedzieć, do kursantów, instruktorzy natomiast wynajmowali się do pracy zupełnie jak nauczyciele tańca albo stroiciele fortepianów; o określonej godzinie pan Czarzasty podjeżdżał pod dom klienta na swoim bicyklu, uwalniał nogawkę spodni z agrafki, a trzeba tu dodać, że była to srebrna pamiątkowa agrafka z diamentikiem, którą pan Czarzasty wpinał natychmiast w swój angielski krawat, następnie poprawiał kaszkiet, czasem jeszcze mankiet koszuli i ruszał do umówionej bramy kamienicy lub ogrodowej furty, sprawdzając na zegarku, czy aby nie jest minutę przed czasem, a jeśli tak, to szedł powoli, bo w tamtej epoce bardzo było źle się spóźnić, ale jeszcze gorzej zawcześcić, jak mówili we Lwowie, no więc przechodząc do istoty sprawy, ten Citroën, proszę pani, należał do mojej babki Marii, dostała go w prezencie od dziadka Karola, który wtedy był jeszcze jej narzeczoną i kończył studia drugiego stopnia w Berlinie, a ponieważ babka zapomniała ubezpieczyć auto, pan Czarzasty bardzo się wtedy na tym przejeździe denerwował – no bo jak panna Maria powie o tym narzeczonemu, może lepiej napisać o tym w liście, ale w żadnym wypadku nie depeszą, bo depesze zawsze przynoszą pecha i w tym wypadku na pewno doszłoby do zerwania zaręczyn, a przecież ten pan inżynier Karol to taka dobra partia – powtarzał instruktor; tymczasem maszynista, gdy zepchnięto już z torów resztki automobilu, uważnie badał swoją lokomotywę: najpierw zderzaki, potem latarnie, wreszcie zaglądał pod przednie koła i obmacywał tłoki, lecz nigdzie nie mógł znaleźć śladu zderzenia w postaci rysy, czy choćby lekkiego zadrapania i był tym zupełnie zrozpaczony, no bo kto

mu w dyrekcji uwierzy, że tak duże spóźnienie spowodowane było taranowaniem francuskiego auta, kto zechce mu dać wiarę, gdy nie ma żadnych śladów, i nawet jeśli zaświadczą konduktorki albo ktoś ważny z grona pasażerów, i tak będą wiedzieli swoje, i tak obetną mu premię albo co gorsza przesuną do niższej kategorii maszynistów i nigdy już – tu prawie się rozpląkał – nie poprowadzi pospiesznego z Wilna do Lwowa lub *sleepingu* Lwów–Warszawa–Poznań–Berlin, jednak na szczęście – staliśmy z panną Ciwle na czerwonym świetle i widziałem, że moja opowieść sprawia jej prawdziwą przyjemność, bo już zupełnie zapomniała, że to ja powinienem siedzieć za kierownicą – jednak na szczęście – ciągnąłem dalej – w tym pociągu jechał w wagonie pierwszej klasy pan Henry Lloyd-Jones, reporter londyńskiego „Timesa”, którego wysłano do Wschodniej Małopolski, by zebrał materiały o Hucułach, tak zatem ten Lloyd-Jones pierwszy wyskoczył z wagonu i natychmiast zaczął pracę – *that's terrific* – mamrotał, fotografując zewłok francuskiego auta – *it looks like Waterloo* – powtarzał z ukontentowaniem, celując obiektywem w firmowy znaczek Citroëna spoczywający w błocku – *absolutely amazing* – chichotał, pstrykając polską lokomotywę, którą potem w swojej korespondencji przyrównał do słowiańskiego Wellingtona – tak – mówiłem do panny Ciwle – i niechże sobie pani wyobrazi, że dzięki tym fotografiom i artykułowi w „Timesie” za tytułowanemu *Everyone was deeply touched* czy jakoś podobnie, ten maszynista nie dostał za spóźnienie żadnej nagany, a wręcz przeciwnie, złoty zegarek i wyróżnienie, moja babka Maria natomiast, mimo że ten Citroën, jak już powiedziałem, nie był ubezpieczony, kilka dni potem otrzymała od pana Rosseta, dyrektora Citroëna na całą Europę Wschodnią, kluczyki od nowego

auta. – Nie, to niemożliwe! – wykrzyknęła panna Ciwle, spoglądając w lusterko – złoty zegarek i nowy citroën? Przecież taki wóz musiał kosztować masę forsy, chyba jeszcze więcej niż dzisiaj. – To się zgadza – powiedziałem – ale to wszystko z powodu anglosaskiej prasy, która już wówczas była potęgą. Bo gdyby, dajmy na to, ktokolwiek zamieścił te zdjęcia sprasowanego citroëna i niedraśniętej polskiej lokomotywy, dajmy na to, w „Kurierze Lwowskim” albo „Gońcu Małopolski Wschodniej”, gdyby ktokolwiek o tym napisał, tak jak to było rzeczywiście w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, i na dodatek dołączył jeszcze gorące zdjęcia, to pies z kulawą nogą nie dałby temu wiary – prawdy tu tyle – kłapano by wokoło – co kot napłakał, bo niby jakim cudem – gęgano by – lokomotywa nie jest ani draśnięta, no i jeszcze niby ten fart, że tamtych dwoje zdążyło na czas wyskoczyć z limuzyny, o, już my znamy taką hucpę i takie baniałuki, to przecie brednie, że pannę z instruktorem uratowała Matka Boska, jak można w kraju naszym religię mieszać do sensacji, albo, co gorsza, do reklamy!! – Ale gdy rzecz ujrzała światło dzienne kilka dni później w „Timesie”, no, to zupełnie inne były czyny i rozmowy. Najpierw pan Willman Cox z Londynu zadzwonił do Chrzanowa i mówi – kochany panie dyrektorze Zieliński, czy możemy zamówić w pana fabryce piętnaście lokomotyw, to na początek, tak między nami mówiąc, poufnie powiem panu, że odkąd kieruję British Railways, czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem; telefonują do mnie zwykli ludzie i krzyczą do słuchawki – dlaczego u nas nie ma takich lokomotyw? Dlaczego w ojczyźnie Watta i Stephensona nie produkuje się takich cacek? Żądamy, aby nasze pociągi obsługiwane były przez takie właśnie, a nie inne maszyny. Lecz to nie

koniec – perorował prezes British Railways – drogi panie dyrektorze Zieliński, niechże pan sobie wyobrazi, że wczoraj miałem telefon z Downing Street i osobisty sekretarz pana premiera był uprzejmy poinformować mnie, że nad zdjęciem waszej lokomotywy, która rozpruła to francuskie brzydactwo, tę ich republikańską puszkę sardynek, że nad tym zdjęciem z najwyższym ukontentowaniem pochylali się pan premier i następca tronu, książę Walii, którego to Wysokość raczyła zadać panu premierowi pytanie o saldo obrotów handlowych z pańskim bohaterskim krajem, co wystarczyło, aby nasz minister komunikacji zagadnął mnie o waszą fabrykę, na co odparłem, że od dawna jestem już z wami w kontakcie i tylko nasze cła na parowozy, semafony *et caetera* wiążą mi ręce, na co minister nasz powiedział – to będzie załatwione na posiedzeniu Izby Gmin – *per saldo* zatem spieszę panu donieść, drogi dyrektorze Zieliński, że zamawiamy oficjalnie piętnaście parowozów i to bez próbnych jazd, a jeśli pan zechce nam powierzyć pośrednictwo – wiem, wiem, to zawsze delikatna sprawa – więc z pośrednictwem możemy panu sprzedać dwadzieścia sztuk do Australii, trzydzieści dwie do Indii, siedem na Cejlon, osiem do Bantustanu i jedną na Falklandy, jedną, bo tam projektujemy dopiero pierwszą linię kolejową. – Niech pan przestanie, błagam – panna Ciwle uniosła dłonie z kierownicy – niech pan przestanie, bo zaraz się rypniemy o krawężnik. No a *citroën*? – zapytała natychmiast, włączając przy tym prawy kierunkowskaz, przy czym ruszyła wolno przez tramwajowe torowisko na placyk manewrowy – co z nowym *citroënem*? – Najpierw zegarek – powiedziałem, czując, że zbliża się krytyczna chwila – złota omega maszynisty! No więc niech pani sobie wyobrazi, że po tym telefonie od pana

Coxa do dyrektora chrzanowskich fabryk parowozów natychmiast poszedł chyr, że maszynista powinien zostać odznaczony i co to jest, co to w ogóle znaczy, by taki zasłużony człowiek pozostał bez nagrody, to chyba jest możliwe tylko u nas, gdzie liczy się protekcja i koneksja, a nie uczciwa praca, więc kiedy doszło polecenie *via* Warszawa do lwowskiej dyrekcji kolei państwowych, natychmiast chcieli go zawezwać choćby telegraficznie z trasy, lecz okazało się, że maszynista Hnatiuk wziął tego krytycznego dnia należny mu, zaległy dwutygodniowy urlop i zniknął jak kamfora, i pewnie dano by mu święty spokój, gdyby nie telefony – najpierw z warszawskiej dyrekcji kolejowej, potem z ministerstwa komunikacji, następnie przemysłu, a w końcu spraw wewnętrznych. – Gdzie jest ten dzielny maszynista? – wrzeszczano do słuchawki – on zrobił dla nas więcej niż tuzin handlowych radców na placówkach – wołano – dlaczego we Lwowie nie potrafią ustalić, gdzie do diaska spędza urlop nasz pracownik, było nie było państwowej, strategicznej firmy! W Poznańskim nie do pomyslenia – stawiano kropkę nad i – chyba we Wschodniej Małopolsce nadszedł czas nieuchronnych zmian, bo widać, że wszędzie myśli się państwowo, tylko nie we Lwowie, a może wy, koledzy, nawet nie wiecie, że wojna się skończyła, może wy nadal macie tam u siebie portrety Franciszka Józefa w stroju koronacyjnym, może na waszych zegarach stacyjnych czas się zatrzymał, o ile w ogóle wiecie, co to jest czas dla naszej polskiej gospodarki! – To już nie były pogroźki – mówiłem do panny Ciwle, która akurat w tym momencie zatrzymała swojego fiata pomiędzy pasiastymi słupkami z gumy – to była zapowiedź rewolucji, a chyba pani wie, że rewolucje to nie była specjalność galicyjska, poza tą jedną, kiedy

chłopi puszczali dwory z dymem i rżnęli swoich panów piłą, wolniutko, metodycznie, za wszystkie lata nędzy i poddaństwa, tak, niczego bardziej się nie obawiano w tamtym pięknym mieście niż zapowiedzi zmian, bo zmiany mają to do siebie, że z dobrego czynią gorsze, a z gorszego całkiem złe, tak uważano we Lwowie i okolicach przynajmniej przez pięćdziesiąt ostatnich lat monarchii Austro-Węgier, zatem wprowadzono w ruch nie tylko kolejowe służby, ale też tajnych wywiadowców, posterunkowych, komisarzy, przodowników – wszystko na próżno, bo w małym domku na Zamarstynowie, gdzie wśród jabłoni, wiśni i czereśni, tyczek fasoli, kit kukurydzy, pędów chmielu i winnej latorośli mieszkał ze swoją żoną i dwójką dzieci maszynista Hnatiuk, nie było po nim śladu. – Hospody, panowie, cóż na to wam poradzę – załamywała ręce pani Hnatiukowa – przecież on nie na służbie, sama bym wiedzieć rada, gdzie on się zabajtłował, huncwot jeden, sama bym prała go po pysku, ale tak, co: przyszedł, powiedział – to już koniec – wziął dwieście złotych i tyle go widzieliśmy, a to nieszczęście, bo on nie pije prawie wcale, ale na tę zgryzotę to pewnie kupił za wszystko wódki i kiełbasy i poszedł w góry, jak w kawalerskich czasach, on to lubił samotnie łązić płajem, tak go szukajcie, może gdzie w kołomyjskim szynku, albo w Kutach – na co komisarz pan Lamparski zmarszczył gniewnie brwi i przerwał – pani Hnatiukowa, chce nam pani powiedzieć, że nie wie, gdzie spędza urlop pani własny mąż? Czy to poważne? Czy nie rozumie pani, że my nie mamy czasu? Że sprawa jest państwowej wagi? – na co błada jak papier żona maszynisty usiadła na krześle i wyszeptwała – Hospody, panowie, on przecież żadnej polityki, żadnych gazetek, od komunistów trzyma się z daleka, a czegoż to – podniosła nagle

dumnie twarz i głos – przecież niczego on nie zrobił kryminalnie, w robocie stawi się na czas, no, czego wam tu szukać w naszym domu? – Panna Ciwle, choć rozbawiona, przystąpiła wreszcie do właściwego punktu naszej lekcji – no dobrze, proszę siadać za kierownicę – wysiadła z fiata – najpierw lusterka, potem pas, dobrze, a teraz startujemy i bardzo proszę rękaw! – Dlaczego przy pierwszym ćwiczeniu manewrowym wybrała zadanie najtrudniejsze? Tego nie wiem do dzisiaj. Być może chciała utrzcę nosa takiemu chojrakowi, co zamiast sprawnie wykonywać polecenia, wykręca się historyjkami sprzed pół wieku, być może zresztą w ogóle o tym nie myślała, fakt pozostaje jednak faktem, że byłem spocony jak mysz, ręce mi drżały nieustannie, a ilość przewróconych słupków z gumy dałaby mi tytuł mistrza świata, gdyby to były kręgle. Pan nawet sobie nie wyobraża, Kochany panie Bohumilu, co to jest jechać na wstecznym biegu dobrych czterdzieści metrów zakrzywionym jak elipsa, wąskim rękawem, co chwila wypadając z trajektorii, co chwila obalając lewy albo prawy słupek i dopuszczając do zgaśnięcia silnika; przecież te pańskie lekcje wieczorne na motocyklu jawa 250, kiedy śmigaliście z instruktorem Forztikiem przez Vinohrady albo Žižkov, podczas gdy złote liście klonów opadały sobie poetycznie do Wełtawy i przepływały pod mostem Karola, te pańskie lekcje jazdy dla niezaawansowanych były jak chwile lirycznego relaksu w porównaniu z moją, zatłoczoną do niemożliwości ulicą Kartuską, albo tym placem manewrowym na zapleczu monopolowego sklepu, gdzie my, kursanci, byliśmy jak aktorzy próbujący awangardową sztukę w obecności niezłomnych widzów. – No nie – powiedziała wreszcie panna Ciwle – jak tylko przestaje pan gadać, to zaraz walimy w słupek albo

gaśnie silnik, proszę dodawać gazu lekko i wolno puszczając sprzęgło, i absolutnie nie zmieniać kąta natarcia, samochód pójdzie łukiem sam, o tak, teraz całkiem dobrze, wolno, powolutku – dotykała swoimi dłońmi moich dłoni i dociskała je bardzo delikatnie do kierownicy – i proszę już nic teraz nie mówić – no dobrze – wyszeptalem – czy nie sądzi pani jednak, że skoro musimy już ćwiczyć ten cholerny rękaw, to można by jechać raczej przed siebie niż na wstecznym, no bo co to za wąż, który pełza do tyłu, to jest sprzeczne z prawami natury, droga panno Ciwle... – Kochany panie Bohumilu, nigdy nie zapomnę, co pan mi odpisał w swoim przedostatnim liście, że mianowicie prawdziwy koneser i artysta nie rozpoznaje kobiety wedle rozmiarów piersi i pośladków, lecz właśnie po dłoniach, co się dokładnie w tym przypadku potwierdziło, bo panna Ciwle w tych swoich ciemnych spodniach i krótkiej skórzanej kurtce nie wyglądała, jak to pan kiedyś ślicznie ujął, ani na cycówkę, ani tym bardziej na dupiarę, nie, panna Ciwle była raczej szczupła pod każdym względem i nie należała do tego typu dziewcząt, na widok których kierowcy ciężarówek wbijają swój nos w klakson, otóż to właśnie, drogi panie Bohumilu, panna Ciwle była na pierwszy rzut oka typem tak zwanej neutralnej chłopczycy, w której na szczęście element postępu nie spowodował jeszcze trwałych zmian, dzięki czemu panna Ciwle miała piękne, kasztanowe włosy upięte w kucyk, a nie ostrego języka na głowie; zamiast flanelowej koszuli w kratę jej dziewczęce piersi okrywała jedwabna bluzka, a na stopach zamiast ciężkich traktorów miała zgrabne, pilchowskie czółenka, prawie tak samo delikatne i fineryjne w kształcie jak te jej długie palce, którymi dociskała moje dłonie do kierownicy fiata, dzięki i tylko dzięki czemu

dojechałem w końcu na wstecznym biegu do końca tego piekielnego rękawa, aż wszystkie obszcymury i wszystkie pijusy stojące na zapleczu monopolowego sklepu biły mi brawo spod wielkich liści łośpianu, okrywających nagi bezwstyd cuchnącego śmietnika. – No, czy znaleźli tego maszynistę? – panna Ciwle wyjęła z papierošnicy gotowego skręta – długo się ukrywał? – Ależ on się wcale nie ukrywał – z pewnym zaskoczeniem przyjąłem od niej zapalonego papierosa, którym zdążyła się tylko raz zaciągnąć – on po prostu rozpaczał w samotności, bo przecież myślał, że to koniec jego pięknej kariery, że to koniec zawodowego życia, że z najwyższego szczebla Jakubowej drabiny, czyli z przedšionka kolejowego nieba, spadnie na samo dno jakiegoš naprawczego warsztatu, dlatego wziął sobie pokój na pięterku u Ajzensztoka, który trzymał karczmę w Źyrawce, i w tym pokoju, z którego w ogóle nie wychodził, snuł maszynista Hnatiuk czarną pajęczynę myśli o tym, że z Polakami to jednak nigdy nic nie wiadomo, bo, jak już dawno temu napisał Fiodor Michajłowicz Dostojewski, Polacy są podstępni i niewierni; najpierw dopuszczą cię do komitywy, poklepią po plecach, szepną kilka miłych słówek, a w chwilę potem wyśmieją twoją prawosławną wiarę i nienajlepszy akcent – rozmyślał z goryczą maszynista Hnatiuk w zajeździe Ajzensztoka i byłby tak rozmyślał aż do końca swojego zaległego urlopu, gdyby nie starszy posterunkowy Gwóźdź, który przez przypadek, pijąc w zajeździe lemoniadę, usłyszał rozmowę Hnatiuka z Ajzensztokiem toczoną przy uchylonych drzwiach i mówiąc krótko – oddałem pannie Ciwle skręta – zatrzymał poszukiwanego i odstawił go do Dyrekcji Kolei, gdzie wręczono mu ten złoty zegarek i tysiąc pięćset złotych nagrody ze specjalnego funduszu chrzanowskiej fabryki

lokomotyw. – Tak, drogi panie Bohumilu, na chwilę musiałem przerwać tę opowieść, bo od tytoniu panny Ciwle zakręciło mi się w głowie, taki był silny i aromatyczny, lecz skoro znowu wsiedliśmy do fiata i gdy wrzuciłem pierwszy bieg, szczęśliwie opuszczając manewrowy plac, od razu zapytała – no a ten nowy citroën pańskiej babki Marii? – Ach, to dopiero była niespodzianka – cudem udało mi się skręcić na Kartuską w lewo i wrzucić bez zgrzytnięcia dwójkę – od artykułu w „Timesie” minęło ledwie parę dni, aż tu wieczorem, w mieszkaniu babki dzwoni telefon, międzymiastowa z Berlina, którą odebrał jej ojciec, to znaczy mój pradziadek Tadeusz, i od razu się strasznie zdenerwował, bo w słuchawce usłyszał głos przyszłego zięcia, jak ten wykrzykiwał jakieś okropne rzeczy o pogrzebie Marii, na który to pogrzeb przyszły teść nie raczył nawet wezwać niedoszłego zięcia, i tak, nie dając sobie wzajem dojść do słowa, nie mogli ani przerwać, ani też skończyć tej rozmowy, bo musi pani wiedzieć – wyjaśniłem – że narzeczony Karol po przeczytaniu reportażu w „Timesie”, którego kupił na Potsdamer Platz w trafice, doszedł do najczarniejszych wniosków, dodajmy, nie bez winy dziennikarza, pana Lloyd-Jonesa, który w barwnym opisie miażdżenia francuskiej puszki przez polską lokomotywę słowem nie wspomniał o cudownym ocaleniu instruktora i kursantki przez Matkę Boską Nieustającej Pomocy, a mianowicie, że stracił narzeczoną. Niech pani sobie wyobrazi – ciągnąłem, przeskoczywszy przez czerwone światło – że oni nie mogli się dogadać, bo kiedy teść krzyczał do słuchawki we Lwowie – przecież Marysia żyje! – zięć wyrzaskiwał do tuby w Berlinie, że ma przed sobą płachtę „Timesa” z fotoreportażem i bardzo prosi, żeby go nie mamić, bo jest przygotowany na najgorsze. – Jezu – śmiała

się panna Ciwle – no a nie można było poprosić pańskiej babki do słuchawki? – Otóż to – dodałem nieśmiało gazu na dwójce – babka stała przy oknie i słysząc kłótnię, dawała ojcu takie właśnie znaki, ale to trwało krótko, bo w tej samej chwili, kiedy przyszły teść krzyknął – przecież Marysia żyje! – ona zauważyła, jak ulicą Ujejskiego wolno nadjeżdża nowiuteńki citroën, jak zatrzymuje się przed bramą ich kamienicy i jak wysiada z niego pan Rosset, przedstawiciel Citroëna na całą Polskę południowo-wschodnią, sprawdzając numer domu z adresem zapisanym na karteczce. I kiedy pradziadek Tadeusz sam postanowił wreszcie przeciąć węzeł tej rozmowy i krzyknął do przyszłego zięcia – dobrze, zaraz zawezwę do słuchawki Marysie! – jej nie było już w salonie, musiała iść do gabinetu, gdzie należało przyjąć niespodziewanego gościa, więc przyszły teść powiedział z pewną konsternacją do słuchawki – no właśnie była tu przed chwilą, ale jej teraz nie ma – na co przyszły zięć wykrzyknął – dosyc tych kłamstw, dlaczego nie da mi pan poznać prawdy!?! – i cisnął z furią słuchawką, odprowadzany zdumionym wzrokiem niemieckiej telefonistki z Potsdamer Platz ku samym drzwiom przeszklonej rozmównicy. No więc tak to wyglądało – wrzuciłem prawy kierunkowskaz – pradziadek Tadeusz stał ze słuchawką w dłoni, nie mogąc uwierzyć głosowi niemieckiej telefonistki, że rozmowa została zakończona, babka Maria stała w gabinecie naprzeciwko pana Rosseta, nie mogąc uwierzyć, że francuska firma pragnie jej ofiarować nowe auto w zamian za krótki wywiad do „Le Monde”, a mój dziadek Karol stał na środku Potsdamer Platz w Berlinie z pomiętą płachtą „Timesa”, nie mogąc uwierzyć słowom niedosłzłego, jak mniemał wówczas, teścia. – Teraz to my stoimy – powiedziała spokojnie panna

Ciwle – nie zjechał pan na prawy pas, powinnam była to powiedzieć, ale czy panu można przerwać? – W istocie coraz większy korek zaczynał się za rufą fiata, ale na prawym pasie sunęły nieprzerwanie samochody i żaden z nich nie raczył nas przepuścić, żebyśmy z Kartuskiej mogli skręcić w Sowińskiego, gdzie się mieściła firma Corrado, dlatego, mimo klaksonów oraz widomie nieprzyjaznych gestów znad kierownic, mogłem dokończyć przynajmniej część historii o nowym citroënie, którego babka Maria faktycznie otrzymała za darmo, no bo cóż znaczył ów krótki wywiad, jakiego udzieliła następnego dnia dziennikarzowi „Le Monde”, w którym to oświadczyła, że gdyby stała na przejeździe innym samochodem, na pewno by nie żyła, bo ani czeska tatra, ani niemiecki horch, ani polski fiat, ani tym bardziej amerykański buick nie posiadały tak sprawnie otwieranych drzwi, ułatwiających bezpieczne opuszczenie auta na kilka sekund przed zderzeniem, drzwi ratujących życie przy każdej katastrofie, tu na sugestię dziennikarza babka Maria opowiedziała o swoich ciężkich snach, w których płonęła zatrzaśnięta w amerykańskim buicku, tak więc, gdyby nie owe drzwi specjalnie zaprojektowane w fabryce Citroëna przez inżynierów myślących o wszystkim, cała ta sprawa tendencyjnie opisana przez reportera „Timesa” wzięłaby obrót wręcz tragiczny, dlatego moja babka Maria stojąca już przy nowym citroënie w błysku magnezji flesza mogła się uśmiechać, mogła optymistycznie wyznać, że z citroënem może bezpiecznie podróżować, nie dbając o wyboje, dziury w drogach, chłopskie furmanki, powodzie, huragany i lokomotywy z Chrzanowa. – Patrzyłem, jak panna Ciwle mocuje się z drzwiami swojego fiata i wreszcie je otwiera, było w tym wiele desperacji, bo chociaż z naszej

prawej strony nie pędził pospieszny Wilno–Baranowicze–Lwów prowadzony przez maszynistę Hnatiuka, lecz tylko samochody, to jednak wymagało to odwagi: stanąć na prawym pasie, zatrzymać jak policjant ruch i gestem dłoni dać mi znak, żebym szybko, wykorzystując krótkotrwałą lukę, skręcił w ulicę Sowińskiego, co wykonałem prawie perfekcyjnie, prawie, bo kiedy mały fiat spokojnie toczył się już wąską uliczką ku firmie Corrado, kiedy w lusterku ujrzałem uśmiechniętą twarz panny Ciwle, która już do mnie dochodziła, zamiast hamulca wcisnąłem pedał gazu i zanim zdążyłem pojąć i naprawić tę pomyłkę, mały fiat gwałtownie skoczył w przód i zjechał na krawężnik w prawo, no i to była moja pierwsza kraksa, kochany panie Bohumilu, zderzenie z blaszanym pudłem kosza, z którego oprócz bananowej skórki sypnęły się kartony, szmaty, ogryzki, niedopałki, puszki, butelki i gazety, oraz, nie wiedzieć skąd i czemu, ebonitowa dłoń, przerażający fragment manekina, którego odewany od całości przegub zdobyła na dodatek emaliowana bransoletka. – Nie można pana pozostawić ani na sekundę – krzyczała panna Ciwle pochylona nad pękniętym kloszem prawego reflektora – nie można pana niczego nauczyć – stuknęła palcem w zadrapany lakier – gdzie są ci pana dziennikarze z „Timesa” czy tego tam „Le Monde’u” – poprawiała oburącz skrzywiony zderzak – a może zjawi się niespodziewanie *dealer* Fiata i zmieni ten mój złom na nową brykę? – Do firmy Corrado było zaledwie trzydzieści metrów, panna Ciwle nie oglądając się na mnie, wskoczyła do samochodu i ruszyła pod górę wąskiej uliczki, a ja biegłem chodnikiem za jej małym i poszkodowanym fiatem, biegłem co sił, żeby stanąć na niewielkim parkingu, zanim ona wysiądzie z samochodu, chciałem otworzyć drzwi jej fiata,

ukłonić się, paść na kolana, błagać o przebaczenie, obiecać naprawę szkód i przyrzec, że nigdy, już przenigdy, nie opowiem niczego o dawnych czasach i dawnych samochodach, ale gdy tylko stanęliśmy naprzeciwko siebie przy otwartych drzwiach tego jej fiata, ja – zziąjany sprintem, ona – zdenerwowana stłuczka, natychmiast powiedziałem – jutro przyniosę forszę za tę lampę, ale niech pani się nie złości i proszę mnie nie skreślać, proszę mnie nie wyrzucać, bo nikt nie uczy tak jak pani – a wtedy panna Ciwle uśmiechnęła się do mnie i odpowiedziała – no pewnie, że nikt, jutro dziesiąta rano na placu manewrowym, a swoją drogą, czy ten instruktor Czarzasty nadal uczył pańską babkę? – O, tak – odparłem natychmiast – tyle tylko, że nigdy już nie wybrał drogi przez przejazd kolejowy. – Kochany panie Bohumilu, pan wie najlepiej, czym jest prawdziwe szczęście, ta krótka chwila, jakiej nie oddalibyśmy potem za wszystkie skarby świata, ten moment jeszcze niespełniony, lecz już zapowiedziany, w którym czujemy sprzyjający los, ten sam nikczemny los, który na co dzień nam nie sprzyja; otóż to właśnie czułem wtedy, idąc Sowińskiego w dół, to, nic innego, byłem szczęśliwy zapowiedzią następnych lekcji z panną Ciwle i czułem się zupełnie jak ten pański Gaston, który przy ulicy Głównej w Pradze spotkał przed szybą wystawową Miejskiego Handlu Detalicznego Cygankę i już wiedział, że to nie jest zwykłe spotkanie, bo przecież nie co dzień spotyka się Cygankę na ulicy Głównej przed Miejskim Handlem Detalicznym, podniosłem więc z chodnika dłoń manekina z emaliowaną bransoletką i szedłem do przystanku przy Kartuskiej przepelniony szczęściem i zapachem włosów panny Ciwle, a wszystkie głosy miasta, cały ten przerażający huk pędzących ciężarówek, tramwajów i autobusów zestroił się

w symfonię majowego oczekiwania i jeśli czegoś żałowałem, to tylko tego, że nie zdążyłem przedstawić pannie Ciwle finału tamtej opowieści, bo przecież dziadek Karol po tej rozmowie z przyszłym teściem był przekonany o śmierci narzeczonej i nie mógł się pogodzić z myślą, że tak okropnie go potraktowano, najpierw nie zawiadamiając o katastrofie i pogrzebie, następnie kłamiąc przez telefon; to się po prostu nie mogło zmieścić w jego głowie, dlaczego tak poważny człowiek, jakim był ojciec Marii, mógł się zachować do tego stopnia niewłaściwie, a prawdę mówiąc, nieprzyzwoicie – dlaczego nie powiedział prawdy, dlaczego kłamał – myślał przez cały wieczór i dzień następny dziadek Karol, aż wreszcie kupił bilet i wsiadł do pociągu pełen najczarniejszych myśli, a kiedy przesiadał się już w Warszawie na pospieszny do Lwowa, w hali dworca kupił kilka gazet, wśród nich świeży numer „Le Monde’u”, w którym ujrzał swoją narzeczoną przed maską nowego Citroëna i natychmiast pobiegł na dworcową pocztę, żeby zamówić błyskawiczną do Berlina, i poprosił swojego niemieckiego kolegę Schwarza, żeby ten wysłał na lwowski adres niedoszłego teścia telegram – Karol nie żyje stop pogrzeb pojutrze stop rzeczy osobiste złożone w polskim konsulacie do odebrania stop pogrążeni w smutku koledzy z korporacji stop – i powiedziawszy to Schwarzowi, w ostatniej chwili zdążył na swój pospieszny do Lwowa i teraz był już zupełnie spokojny o moment przywitania, bo rzeczywiście wszystko obliczył z inżynierską dokładnością, i kiedy rano jechał dorożką z Dworca Głównego, kupiwszy dwie wiązanki kwiatów: jedną żałobną, a drugą normalną, kiedy jak zawsze po powrocie przyglądał się swojemu rodzinnemu miastu z czułością i uwagą, w mieszkaniu przy Ujejskiego panował już zamęt, gdyż babka

Maria zdążyła omdleć kilkakrotnie, zanim wezwano lekarza, ciocia Stasia robiła kompresy i szukała soli, a mój pradziadek Tadeusz zdążył zamówić błyskawiczną z konsulem w Berlinie, na którą czekał, chodząc po salonie nerwowymi krokami, i wtedy rozległ się dzwonek u drzwi i stanął w nich Karol z tymi dwiema wiązankami kwiatów, i dopiero się zaczęła awantura, bo kiedy Maria krzyczała na niego – jak mogłeś nam to zrobić!? – Karol wyjął najpierw płachtę „Timesa”, a potem „Le Monde’u” i pytał – a jak wy mogliście mi to zrobić!!! – i tak sprzeczali się głośno, i nie mogli dojść do porozumienia, ponieważ co chwilę któreś z nich wykrzykiwało – ty mnie nie kochasz! – na co drugie jeszcze głośniej przeczytało – nie, to ty mnie już nie kochasz! – i tak rozwijała się ta fuga, aż wreszcie babka Maria oddała dziadkowi Karolowi klucze od nowego Citroëna i powiedziała, że nie chce go już więcej widzieć, bo jak każdy mężczyzna oczywiście bardziej interesuje się losem samochodu niż narzeczonej, na co dziadek uniósł się honorem, cisnął obie wiązanki kwiatów do tuby na parasole i mówiąc – zatem żegnaj na zawsze! – wybiegł z kamienicy, wskoczył do auta i ruszył z kopyta, i pewnie w ten sposób, kochany panie Bohumilu, zerwaliby ze sobą na zawsze, co dla mnie miałoby znaczenie zasadnicze, bo byłbym kimś zupełnie innym, nie zostawszy po latach ich wnukiem, ale raz jeszcze w życiu Marii i Karola, więc w jakimś sensie także w moim życiu, zadecydował czynnik motoryzacyjny, bo oto dziadek Karol dodał ostro gazu i w tym momencie z bramy sąsiedniej kamienicy wyjechał wóz mleczarza, dziadek nacisnął na hamulce, ale to były hamulce Citroëna, klockowe, nie hydrauliczne, tak więc francuskie cudo wyrznęło ostro w piramidę baniek, zgrzytnęła strasznie prasowana blacha, huknęło rozbijane szkło,

Kiedy bohater na początku lat pięćdziesiątych wsiada z instruktorką prawa jazdy do małego fiata, umiera ze wstydu. Prawie. Ratuje go historia, którą zaczyna snuć coraz bardziej zasłuchanej kobiecie. O babce, która wpadła Citroënem pod pociąg pospieszny z Wilna do Lwowa, dziadku, któremu Sowieci zarekwirowali Mercedesa... W jego opowieści zaczynają wkradać się wątki hrabalowskie, a w lusterku wstecznym czeski pisarz w czapce szofera uśmiecha się pod nosem.

Przezabawna nostalgiczna opowieść o przeszłości, piknikach w sosnowych lasach, zawodach balonowych i cudownych chromowanych karoseriach.

Małe arcydzieło.

„Tages-Anzeiger”

Zabawna, słodko-gorzka opowieść ze szczyptą ironii i nostalgii.

„Independent”

Książka ukazała się w 19 krajach.

Fot. Adam Golec



Paweł Huelle jest zakochanym w Gdańsku i Hrabalu pisarzem, scenarzystą i dramaturgiem. Autorem m.in. słynnego *Weisera Dawidka*, *Mercedesa-Benza*, *Opowieści chłodnego morza* czy *Śpiewaj ogrody*. Świat, który już dawno przeminął, w jego utworach nabiera niezwykłego blasku. Tętni życiem, uwodzi i hipnotyzuje.

Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-240-2872-6



znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com